

TADEUSZ KONWICKI



MAŁA APOKALIPSA

Tadeusz Konwicki

MAŁA APOKALIPSA

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-56-3

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa (2010),
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Niezależna Oficyna Wydawnicza (1979)

Projekt okładki: Olga Bołdok

Oto nadchodzi koniec świata. Oto nadciąga, zbliża się, czy raczej przypełza, mój własny koniec świata. Koniec mego osobistego świata. Ale zanim mój wszechświat rozpadnie się w gruzy, rozsypie na atomy, imploduje w próżnię, czeka mnie jeszcze ostatni kilometr mojej Golgoty, ostatnie okrążenie w tym maratonie, ostatnich kilka szczebli w dół albo w górę po drabinie bezsensu.

Zbudziłem się o tej mrocznej godzinie, która zaczyna beznadziejny dzień jesienny. Leżę i patrzę w okno pełne chmur, a właściwie pełne jednej chmury jak szerniała ze starości tapeta. To jest godzina podliczania kasy życiowej, godzina codziennego obrachunku. Kiedyś ludzie podsumowywali się o północy, przed ciężkim zaśnięciem, teraz biją się w piersi nad ranem obudzeni łoskotem zdychającego serca.

Obok, w szafce, leży czysty papier. Nitrogliceryna współczesnego literata, proszek narkotyczny obolałego indywiduum. Można zanurzyć się w płytką, białą czeluść stronicy, schować się przed sobą i przed prywatnym wszechświatem, który już niedługo imploduje i szernie. Można tę biel bezbronną zbrukać złą krwią, wściekłym jadem, cuchnącą flegmą – a tego nikt nie lubi, nawet sam autor. Można na tę biel bezmyślną wysączyć słodycz sztucznej zgody, ambrozię fałszywej otuchy, cikliwy syrop pochlebstwa – a to wszyscy lubią, nawet sam autor.

W którą stronę skrócić na tym ostatnim okrążeniu? W gorzkie lewo czy w słodkie prawo? Za oknem ta sama chmura, albo kolektyw ujednoliconych chmur. Przeleciał po zardzewiałym parapecie deszcz na długich, cienkich nogach. Coś tam kiedyś było. Gwałtowny ruch kształtów, barw, okrucich emocji. Moje życie albo cudze. Najpewniej jakieś wymyślone. Ulepiec z lektur, niespełnień, starych filmów, niedokończonych rojeń, zasłyszanych legend, niewyśnionych snów. Moje życie. Kotlet z białka i kosmicznego pyłu.

W tej chmurze albo w tych kilku scalonych chmurach jesiennych nurza się Pałac Kultury, który kiedyś, za młodu, był Pałacem Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina. Ogromna, szpiczasta budowla budziła strach, nienawiść, magiczną zgrozę. Pomnik pychy, statua niewolności, kamienny tort przestrogi. A teraz to tylko wielki barak postawiony na sztorc. Zżarty przez grzyb i pleśń stary szalet zapomniany na środkowoeuropejskim rozdrożu.

Mruga do mnie kilkoma wątlými płomyczkami okienek. Kokietuje z obleśną poufałością. A kto mnie postawił na sztorc? Mnie położono na bok. Odłożono na bok. Leżę na lewym boku i słucham swego serca, którego nie słyszeć. I myślę o tym wątlým łańcuszku reakcji chemicznych, który powoduje, że unoszę powiekę, że burczy mi w żołądku, że marszczy się skóra na czole, że skwierczy stłumionym bólem ordynarny pęcherz. Że w głowie albo poza głową odbywa się ruch słów, wyobrażeń, które nazywamy myślami, że pojawia się obłok fal, który jest tęsknotą albo spazmem nienawiści, że wystrzeliwuje się w przestrzeń kosmiczną pocisk lęku przed wiecznym nieznanym albo nabój rozkoszy poznania okrucich prawdy. U wielu moich przyjaciół pękł nagle jednego dnia ten łańcuszek reakcji chemicznych i nie wiem, gdzie oni teraz są, czy pokutują przy garści fosforu wietrzejącej w ziemi cmentarnej, czy oddalają się w konwulsjach drgań właściwych falom, czy pędzą w głąb nieskończoności i odbijają się od czarnej ściany końca tej nieskończoności i wrócą tu, gdzie już mnie nie będzie.

W domu słyszeć pierwsze odgłosy życia. Ta wielka lokomobila w postaci czynszowej kamienicy rusza powoli w codzienność. Więc i ja sięgam po pierwszego papierosa. Najsmaczniejszy jest ten papieros przed śniadaniem. Skracą życie. Od wielu lat mozolnie skracam sobie życie. I wszyscy ukradkiem skracają swoją egzystencję. Coś w tym musi być. Jakiś wyższy nakaz, albo może prawo natury przeludnionego globu.

Lubię ten mglisty zawrót głowy po mocnym zaciągnięciu się gorzkim dymem. Chciałbym się godnie pożegnać ze światem. Bo ja od dziecka rozstaję się z życiem i nie

mogę rozstać. Marudzę na przejazdach kolejowych, chodzę pod ścianami, gdzie spadają dachówki, upijam się do utraty przytomności, napastuję chuliganów. I tak zbliżam się już do mety. Jestem na finiszowym odcinku. Chciałbym jakoś pożegnać się z wami. Pragnę zawyć niehumanicznym głosem, żeby mnie usłyszano w najdalszym zakątku planety, a może nawet w sąsiednich gwiazdozbiorach, a może nawet w siedzibie Pana Boga. Czy to próżność? Czy to obowiązek? Czy to instynkt, który, jak rozbitkom, jak rozbitkom kosmicznym, każe nam krzyczeć przez wieki w rozgwieżdżoną przestrzeń?

Spoufaliliśmy się z wszechświatem. Kosmosem wyciera sobie gębę sprzedajny poeta, głupkowaty humorysta, zdradziecki dziennikarz, więc dlaczego i ja nie mogę zadzierać głowy do góry, gdzie szybują zardzewiałe sputniki i zmarznęte na kość odchody kosmonautów.

Więc chciałbym się jakoś pożegnać. Całą noc śniłem zęby. Trzymałem w garści kupę zębów wielkich jak ziarna kukurydzy. W jednym tkwiła nawet plomba, warszawska tania plomba ze spółdzielni dentystycznej. Coś powiedzieć o sobie do końca. Ani ku przestrodze, ani ku nauce, ani nawet ku rozrywce. Po prostu coś powiedzieć, czego nikt inny nie może wyjawiać. Bo ja przed snem, albo może w pierwszym przelotnym obłoczku snu, zaczynam rozumieć sens egzystencji, sens czasu i sens bytu poza życiem. Rozumiem tę tajemnicę przez ułamek sekundy, przez mgnienie dalekich wspomnień, przez krótką chwilę kojących albo strasznych przeczuć i natychmiast spadam na kamieniste dno złych snów. Wszyscy z jako tako ukrwionym mózgiem napinają ostatek sił, żeby zrozumieć. A ja jestem blisko. To znaczy bywam blisko. I oddałbym, co posiadam, do ostatniej okruszyny, a przecież nic nie posiadam, więc oddałbym wszystko nic, żeby zobaczyć tajemnicę w całej jej prostocie, zobaczyć za jednym razem i zapamiętać ją na zawsze.

Jestem dwunogiem spłodzonym nieopodal Wisły przez starych rodziców, to znaczy, że odziedziczyłem w genach całe ich dwunożne doświadczenie. Sam widziałem wojnę, to znaczy straszny amok ssaków, które mordują się wzajemnie aż do ostatecznego wyczerpania. Obserwowałem rodzenie się życia i jego kres w postaci tego aktu, który nazywamy śmiercią. Poznałem całą zwierzęcość swego gatunku i całą niezwykłą anielskość. Przeszedłem tę ciernistą drogę pojedynczej ewolucji, którą zowią losem. Jestem jednym z was. Jestem doskonałym anonimem homo sapiens. Dlaczego więc kaprys przypadku nie miałby mnie zawierzyć tajemnicy, jeśli w ogóle jest przeznaczone jej ujawnienie.

To, co powiadam, wygląda na jakąś odświętność, na luksus nieroba, albo na dewiację zboczeńca. Ale przecież wy wszyscy, którzy uruchomiacie od czasu do czasu swoje leniwe zwoje mózgowe, podlegacie takim samym pragnieniom i ambicjom. Takim samym strachom i odruchom samozagłady. Takim samym buntom i rezygnacjom.

Dwie pijane roznosicielki obaliły wysoką kolumnę skrzynek z butelkami mleka. Teraz, zamarłe w bezruchu, obserwują skutki kataklizmu, przeżywając skomplikowany a zarazem prosty proces transformacji zgrozy w lekkomyślne rozradowanie. Przeźroczyły deszcz zawadził skrzydłem o nasz dom truchlejący ze starości. O nasz warszawski dom z epoki późnego stalinizmu, z ery dekadentckiego stalinizmu, z okresu spolszczonego i zeszmaczonego stalinizmu.

Trzeba wstawać. Trzeba podnieść się z łóżka i wykonać piętnaście czynności, nad których sensem nie wolno się zastanawiać. Narośl automatycznych przyzwyczajzeń. Błogosławiony rak bezmyślnego ładu tradycji. Ale ostatnia wojna nie tylko zabiła kilkadziesiąt milionów ludzi. Ostatnia wojna zdruzgotała niechcący i przypadkowo wielki pałac kultury europejskiej moralności, estetyki i obyczaju. W rolls-royce'ach,

mercedesach i moskwiczach ludzkość wjechała z powrotem do mrocznych pieczar i lodowatych jaskiń.

Za oknem moje miasto pod chmurą jak stara szerniała tapeta. Miasto, do którego zapędziło mnie przeznaczenie z mojego własnego miasta, co go już nie pamiętam i coraz rzadziej śnię. Los mnie przegnał tylko kilkaset kilometrów, ale oddalił od niespełnionej egzystencji o całą wieczność reinkarnacji. To miasto jest stolicą narodu, który wyparowuje w nicłość. O tym też trzeba powiedzieć. Ale komu? Czy tym, których już nie ma, albo którzy odchodzą w niepamięć? A może tym, co pożerają pojedynczych ludzi i całe narody?

Miasto zaczyna szumieć jak pas transmisyjny. Ruszyło z nocnego letargu. Ruszyło ku swemu przeznaczeniu, które ja znam i któremu chcę zapobiec.

Pająk zjeżdża na niewidocznej nici spod sufitu. Schudł biedak, zmizerniał, bo much coraz mniej. Współżyje tak ze mną od wiosny. Ułatwiałem mu swego czasu polowania. Zaprzyjaźnił się z konieczności. On czemuś nie ma kolegów, a moi wyekspirowali.

Więc najpierw się pomodłę. Za siebie, za bliskich i za zmarłych przyjaciół. Moja modlitwa, ułożona praktycznie i spójście przeze mnie, wygląda jak płaczliwe ultimatum. Same żądania i niewiele kurtuazji. Kiedy się modłę, płochliwe bluźniercze myśli pobzykują wokół głowy. Odpędzam je gorliwie, choć one tylko przymierzają moją skromną wiedzę do ogromnej i staroświeckiej konstrukcji aksjomatów religijnych winkrustowanych w to posępne i melancholijne gmaszysko wzniesione przez ludzi z epok światłych i ciemnych, dobrych i okrutnych. Potem długo się żegnam, rozpaczliwie żegnam się bez końca, żeby tym gestem rytualnym odpędzić złe myśli, złe pragnienia i złe duchy.

Jestem wolny. Jestem jednym z niewielu ludzi wolnych w tym kraju przeźroczyściego zniewolenia. Zniewolenia pokrytego niechlujnie lakierem nowoczesności. Walczyłem długo i bezkrwawo o tę marną wolność osobistą. Walczyłem o moją wolność z pokusami, z ambicjami i z głodami, które wszystkich gnają na oślep ku rzeźniom. Ku niby nowoczesnym rzeźniom godności ludzkiej, honoru i czegoś tam jeszcze, o czym dawno zapomnieliśmy.

Jestem wolny i sam. Bo samotność jest dosyć niską ceną za ten mój niewielki luksus. Wyzwoliłem się na ostatnim okrążeniu, kiedy już gołym okiem widać metę. Jestem wolnym anonimem. Moje wzloty i upadki odeszły w czapkach niewidkach, moje sukcesy i grzechy pożeglowały w korwetach niewidkach i moje filmy oraz książki poleciały w przepaść w sejfach niewidkach. Jestem wolnym anonimem.

Zapalę sobie wobec tego jeszcze jednego papierosa. Na pusty żołądek. Oto nadchodzi mój koniec świata. To wiem na pewno. Mój przedwczesny koniec świata. Kto będzie zwiastunem? Czy nagły przeszywający ból pod mostkiem w piersiach? Czy przeraźliwy wizg opon hamującego samochodu? Czy wróg, a może przyjaciel?

A te baby za oknem ciągle jeszcze omawiają katastrofę z mlekiem. Przysiadły sobie na zabytkowych pojemnikach z ciemnoszarego plastyku, zapaliły papierosa i obserwują, jak wodniste mleko ścieka do ulicznej studzienki, z której bucha para, bo pewnie znowu przez pomyłkę do rur wodociągowych puszczono gorącą wodę z elektrociepłowni. I nagle uświadamiam sobie, że już od lat nikt nie roznosi mleka, że taki widok robotnych bab w nieokreślonym wieku pchających wózki z butelkami mleka, że taki widok już dawno zapomniałem, że ten obrazek kojarzy się w mojej świadomości z dawnymi laty, kiedy ja byłem młody i świat był młody.

Pewnie film kręcą kostiumowy, myślę sobie i przytykam czoło do wilgotnej szyby. Ale za oknem normalna, codzienna, zabłocona ulica. Niewielkie tłumki ludzi śpieszą pod ścianami domów do swoich zajęć. Z Pałacu Kultury, jak zwykle rano, kiedy wzrasta temperatura, odrywa się zmurszały blok kamiennej okładziny i leci z

hukiem na dół po szczerbatych żlebach budowli. Dopiero teraz spostrzegam na ścianie tego gmachu wielkiego orła na czarnym tle, to znaczy na czerwonym, ale szczerbiałym od deszczu. Biały nasz orzeł trzyma się nieźle, bo od spodu wspiera go ogromna kula ziemiska opleciona ciasno sierpem i młotem. Jakaś rynna odzywa się głębokim głosem okaryny. To wiatr, może jeszcze letni, a może już zimowy, gna z placu Defilad i obraca topole srebrną stroną do słońca, które uwieźło w mokrych chmurach.

Skończyły się papierosy. A jak się skończą papierosy, wtedy ogarnia człowieka raptowna chęć zaciągnięcia się dymem. Więc otwieram kolejno szuflady mojego skarbca, w którym chowam obelżywe listy i stare rachunki, popsute zapalniczki i kwity urzędu finansowego, fotografie z młodości i proszki nasenne. A tu, między kłakami waty i rolkami bandaży z dawnych dobrych czasów, kiedy jeszcze opłacało mi się poddawać operacjom, więc w tym omszałym starością zakamarku znajduję żółtą stronę sprzed wielu lat, stronę jak kartusz pomnika albo jak płyta nagrobna, stronę, na której kiedyś rozpocząłem nową prozę nigdy już niedokończoną. A rozpoczynałem pracę w owej świetnej epoce na Nowy Rok, zaraz po sylwestrze, jeszcze z miłym kacem pulsującym w zdrowej głowie. A rozpoczynałem na Nowy Rok dlatego, że hołdowałem wtedy przesądom i chciałem nowy cykl biologiczny i astronomiczny uczcić pracą. Później zrozumiałem, że mój własny Nowy Rok zaczyna się w końcu lata albo na początku jesieni i dlatego pewnie przerwałem pisanie i nigdy już więcej nie napisałem ani słowa.

Więc leżała ta kartka, dawniej biała, dziś żółta, przez długie miesiące, kwartały i lata niedokończona, niezapelniona, z wyblakłym mottem, co miało błogosławić rzecznym scenom, podniosłym myślom i ślicznym opisom przyrody. Zdmuchuję proch warszawskich fabryk z tego woskowego trupa mojej wyobraźni i czytam słowa, które były dewizą życiową starego magnata polskiego z XIX wieku: „Jeżeli interesy Rosji na to pozwalają, chętnie zwracam uczucia ku swojej pierwotnej ojczyźnie”.

O co mi wtedy chodziło? Czy chciałem każdego ranka, na czczo, odczytywać to wyznanie swoim dzieciom? Czy zamierzałem rozesłać je na świątecznych kartkach do współczesnych sobie magnatów nauki, literatury albo filmu? Czy próbowałem pozyskać względy cenzora dla prozy umarłej już w łóżysku anemicznego natchnienia?

Szyby w oknach brzęknęły boleśnie. Wyskoczył gdzieś z przecznicy histeryczny sygnał wozów milicyjnych. Spojrzałem na zegarek przywieziony mi kiedyś przez przyjaciela, Stanisława D., z wycieczki do Związku Radzieckiego. Dochodziła ósma. Wiedziałem, co to znaczy. Jak codziennie o tej porze, pędziła przez miasto w asyście karetek milicyjnych pancerna chłodnia z artykułami żywnościowymi dla ministrów i sekretarzy partyjnych. Kawalkada maszyn przeleciała pod moim domem rozbryzgując kałuże mleka na jezdni. Archaiczne mleczarki, wydobyte na ten dzień z jakiegoś domu starców, zadeptywały pety w błocie chodnika, żegnając się ukradkiem.

Nagle odezwał się gong przy moich drzwiach. Zamarłem koło okna, nie wierząc własnym uszom. Byłem przekonany, że to urządzenie nie funkcjonuje już od wielu lat. Ale wytworny dźwięk ksylofonu powtórzył się natarczywiej. Wciągając na grzbiet stary szlafrok, prezent od szwagra, Jana L., ruszyłem czujnie pod próg. Uchyliłem drzwi. Na podeście schodów stali Hubert i Rysio, obaj w odświeżonych garniturach pamiętających środek pogodnych lat siedemdziesiątych. Hubert w prawej ręce trzymał laskę, a w lewej groźnie wyglądającą czarną teczkę. Zaczęło mi bić szybko serce, i nie bez powodu, bo obaj przychodzili do mnie jakieś dwa razy do roku i każda ich wizyta oznaczała radykalne zmiany w moim życiu.

– Można? Nie za wcześnie? – spytał jowialnym tonem Hubert.

Znałem dobrze te ich sztuczne uśmieszki, za którymi krył się cios wymierzany w moją wygodę.

Uśmiechnąłem się też swobodnie, rozwarłem gościnnie drzwi i kiedy wchodzili, ceregieląc się, do korytarza, ja błyskawicznie w myślach odgadywałem cel ich odwiedzin. Dzięki nim podpisałem dziesiątki petycji, memoriałów i protestów kierowanych przez lata do naszego małomównego w tym względzie reżymu. Kilka razy traciłem pracę, wiele razy byłem cichcem pozbawiany praw obywatelskich, prawie codziennie podlegałem jakimś drobnym, niewidocznym szykanom, o których wstyd nawet wspominać, ale które, zsumowane przez lata, mocno zniechęcały do życia. Więc ściskaliśmy się kordialnie, przepychając się w ciasnym korytarzu, ciągle z tymi uśmiezkami starych kumplów, ale ja już byłem dobrze napięty i zasychało mi w gardle.

Wreszcie znaleźliśmy się w moim pokoju i usiedliśmy w drewnianych fotelach, w jednym rzędzie niczym w samolocie lecącym ku nieznanym i podniecającym przygodom.

- Dobrze wyglądasz – rzekł Hubert, stawiając obok siebie tę złowróżbną teczkę.
- Tobie też niczego nie brakuje – powiedziałem życzliwie.

Chwilę przyglądaliśmy się sobie ze skrępowaniem. Hubert opierał żylaste dłonie na lasce. Oślepie oko było nieruchome, drugie zmrużył i przyglądał mi się ni to przyjaźnie, ni to ironicznie. Kiedyś, w zamierzchłych czasach, został skatowany może przez podziemie antykomunistyczne, a może przez oficerów śledczych z Bezpieczeństwa, i od tego zapomnianego już przez wszystkich incydentu chodził zawsze o lasce i szwankował na zdrowiu. Rysio, którego pamiętałem jeszcze jako złotowłosego aniołka, był teraz przytutym łysawym blondynem, kapłanem afabularnych powieści bez znaków przestankowych i bez dialogów.

Dobrze wyglądaliśmy, jak na starych przyków, to fakt. Ale ta pauza milczenia trochę się przedłużała i należało coś powiedzieć.

- Może napijecie się kielicha?
- Kielich nie zaszkodzi – rzekł Hubert. – A co masz?
- Czystą. Kartoflaną. Z importowanych kartofli.
- To tym bardziej nie można odmówić – głos Huberta był tubalny, jakby ustawiony na większe pomieszczenie niż mój zagrożony pokój.

Kiedy wydobywałem z szafki flaszkę i kielichy, obaj z Rysiem rozglądali się dyskretnie po pokoju. Zabulgotał płyn z importowanego surowca, przycupnąłem na brzeżku fotelu. Papieros na czczo to niezdrowo, ale seta kartoflanki to po prostu śmierć. Może i lepiej. Uniosłem kieliszek do góry.

- Za pomyślność.
- Twoje zdrowie – odezwał się wreszcie Rysio i szybko przełknął zawartość kieliszka.

Za oknem ucichł na chwilę wiatr i topole odwróciły się dojrzałą solidną zielenią w naszą stronę. Dom był, jak na złość, wyjątkowo cichy i nasze milczenie stawało się coraz głośniejsze. Ale postanowiłem twardo nie odzywać się i zmusić ich do odkrycia kart.

- Hubert odstawił z rozwągą kieliszek.
- Mało wychodzisz z domu – powiedział.
- A tak. Jesień mnie rozstraja.
- Depresyjka?
- Chyba coś w tym rodzaju.
- Pisziesz coś?
- Właśnie rozpocząłem.

Przyglądał mi się jakby z niedowierzaniem. Rysio nalał sobie następnego dzioba.

- I co to będzie?
- Nic rewelacyjnego. Przyszła mi ochota napisać trochę głupstw o sobie.

- Zawsze pisałeś o sobie.
- Może masz rację. Ale chciałem o innych.
- Najwyższa pora.
- Żeby się zagłuszyć.

Wszystko to wyglądało na egzamin. I ja czułem się jak maturzysta. Ale przecież całe życie czułem się jak maturzysta, najwyżej jak student.

- No co, Rysiu – rzekł raptem Hubert. – Czas chyba przystąpić do rzeczy.

Rysio skinął głową.

- Coś podpiszemy? – odgadywałem usłużnie, zerkając na czarną teczkę.
- Nie, tym razem mamy inną sprawę. Może ty, Rysiu, zaczniesz?
- Mów, mów, skoro zacząłeś – powiedział skwapliwie Rysio.

Jakieś głupkowate ciepło rosło we mnie. Machinalnie sięgnąłem po butelkę. Chciałem przy okazji nalać Hubertowi.

– Dziękuję. Wystarczy – powstrzymał mnie jakby odrobinę oficjalnie. A ja pomyślałem, że to niedobry znak.

Właściwie wszystko mi jedno. Jestem wolnym człowiekiem, który zawisł wysoko nad tym miastem i z oddali z łagodnym zdumieniem przygląda się dziwnym ludziom oraz ich dziwnym poczynaniom. Bezmyślnie włączyłem stojący na stole telewizorek. Odezwało się wycie wiatru, łopot jakichś płócien, a po chwili wypłynął ze srebrzystego punkciku obraz uroczyscie udekorowanego lotniska. Kompania honorowa marzła w poprzek ekranu, jacyś cywile osłaniali się paltocikami przed wiatrem, a nad tą kompanią i nad cywilami wzdymały się jak żagle czerwone flagi przetkane gdzieniegdzie, jakby wstydliwie, biało-czerwonymi sztandarami.

– Właśnie – zdecydował się przerwać milczenie Hubert. – Dawno z tobą nie rozmawialiśmy.

Odetchnąłem, wstydząc się tego odetchnięcia. Siadłem głębiej w fotelu.

– Tak. Tracimy ze sobą kontakt – powiedziałem tonem światowca. – A coraz nas mniej.

- Każdy sobie rzepkę skrobie – dodał Rysio.

- Ale ja obserwuję waszą działalność.

– Jaka tam działalność – machnął ręką Hubert. – Podtrzymujemy tłący się płomyk.

– To fakt. Mam wrażenie, jakby ten kraj naprawdę umierał – rzekłem, nie wiedząc, do czego oni zmierzają.

– Tyle lat szarpaniny. Zestarzeliliśmy się, skapcanieliśmy, wydając te nasze półlegalne biuletyny, periodyki, odezwy, które mało kto czyta. Owszem, młodzież. Ale młodzież żeni się, płodzi dzieci, kupuje małego fiata, wydzierżawia działeczkę, sadzi pomidory. Zalewa nas mieszczaństwo, sowieckie mieszczaństwo.

- Koniec. Mogiła – dodał Rysio, nalewając sobie kielicha.

Przez nieszczęsne drzwi balkonowe sączy się na podłogę woda. Powinienem znaleźć ścierkę i zapobiec szkodzie, ale trochę mi się nie chce, a trochę się wstydzę kolegów. Ciężko nam idzie ta mowa. Niesporo głądzić o sprawach, o których myślimy cały boży dzień, o których nawet śnimy w kiepskie noce. Kiedyś wyglądało to lepiej. Byliśmy dziećmi XIX wieku. Ojcowie nasi należeli do Legionów albo do POW, my byliśmy w AK albo w ZWM-ie. To znaczy, jak to dziś powiedzieć, to znaczy, jak to po latach objaśnić, to znaczy, to nic nie znaczy, do diabła, w końcu naszego wspaniałego XX wieku, wieku tyranii i rozpasanej demokracji, głupkowatej świętości i genialnego łajdactwa, skapcaniałej sztuki i rozwydrzonej grafomanii.

Widzę utkwione we mnie zdrowe oko Huberta.

- Słyszysz? – pyta.

- Tak, oczywiście.

– Chcemy ci coś zaproponować. W imieniu kolegów.
Czuję jakiś mróz na plecach. Odstawiam bardzo wolno niedopity kieliszek.
– Co chcecie zaproponować?
– Żebyś dziś o ósmej wieczorem spalił się pod gmachem centralnego komitetu partii.

W obrazie telewizora nic się nie zmieniło. Wiatr, gwałtowny łopot flag i oczekiwanie. Dopiero teraz wysupłuje się muzyka nadawana ze studia, czcigodna i uroczysta.

Przelykam ciężko ślinę zmieszaną z wódką.

– Żartujesz, Hubert?

– Nie. Nie żartuję – i ociera z czoła niewidoczny pot.

– Ale dlaczego ja? Dlaczego do mnie z tym przychodzicie?

– No a kto? Ktoś musi to zrobić.

– Rozumiem, wszystko rozumiem, tylko nie rozumiem, dlaczego ja?

Hubert spogląda na Rysia.

– Mówiłem, że tak będzie.

Rysio patrzy w podłogę.

– Słuchaj – odzywa się wreszcie z męką – myśmy długo rozmawiali.

Przeanalizowaliśmy wszystkie kandydatury. Wyszło na ciebie.

Na oknie stoi moje drzewko szczęścia. Dopiero teraz widzę, jak wybujało ostatnio, jak obrosło w młode, silne listki. Tyle lat cherlało, a teraz nagle bez żadnej zewnętrznej przyczyny śmignęło w górę, puściło na boki wiele mocnych, węzlastych gałązek.

– Widzisz – powiada cicho Hubert – taki czyn będzie tylko wtedy miał sens, jeśli wstrząśnie ludźmi tutaj w kraju i wszędzie za granicą. Jesteś znany naszym czytelnikom, a i na Zachodzie gdzieśgdzie słyszano o tobie. Twój życiorys i twój charakter jak najbardziej pasują do tej sytuacji. Oczywiście my ciebie nie możemy namawiać i nie będziemy tego robić. To jest twoja sprawa i twego sumienia. Chcę ci tylko przekazać opinię nie tylko moją czy Rysia, ale całej tej społeczności, która próbuje walczyć. Wybacz, że nie użyję większych słów.

– Mam wątpliwości, czy moja śmierć spełni tę rolę, jakiej się po niej spodziewacie. Ja widzę takich, których ta ofiara uczyniłaby symbolem na miarę światową.

Popatrzyli na mnie z ciekawością. Hubert uporczywie rozcierał siniejące palce.

– Pewnie myślisz o Janie? – spytał.

– A chociażby. Jego filmy zna cały świat i jego książki są czytane w wielu krajach na prawach uniwersalnej literatury. Co roku czekamy z biciem serca, że zostanie nagrodzony Oscarem albo Noblem.

Hubert uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

– To za duży koszt. Za duża cena dla tego kraju i tej społeczności. Sam sobie odpowiedziałeś.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI